

Scenariusz przeznaczony do realizacji w szkole ponadgimnazjalnej (historia, język polski).

Anna Krajnowska
Centrum Edukacji Nauczycieli w Gdańsku

Temat	Wojna i ludzie. „Drogi Czytelniku, pragnę uchylić rąbka prawdziwej historii...”
Cel ogólny	Ukazanie zróżnicowanych warunków życia ludności cywilnej oraz stosunku do niej żołnierzy walczących armii w ostatnich miesiącach II wojny na podstawie tekstu źródłowego (fragmentów wspomnień).
Cele szczegółowe	<p>Uczeń:</p> <ul style="list-style-type: none"> – wymienia cechy charakterystyczne polityki hitlerowskiej wobec polskiej ludności cywilnej w czasie II wojny światowej – lokalizuje poznane wydarzenia na mapie oraz sytuuje je w czasie – opisuje, posługując się przykładem z tekstu źródłowego, sytuację polskiej ludności w ostatnim okresie wojny – opisuje sytuację ludności niemieckiej na ziemiach Trzeciej Rzeszy zajmowanych przez wojska radzieckie – charakteryzuje wpływ działań wojennych na życie codzienne ludności cywilnej – podejmuje próbę oceny wpływu działań wojennych na życie zwykłych ludzi
Kształcone umiejętności	<ul style="list-style-type: none"> – analizowanie materiałów źródłowych – poszukiwanie, porządkowanie i prezentacja informacji – posługiwanie się pojęciami właściwymi tematowi – próba odnajdowania związków przyczynowo-skutkowych – komunikacja na poziomie grupy i klasy – planowanie własnej wypowiedzi
Metody i techniki	<ul style="list-style-type: none"> – wykład analityczny (podanie uczniom niezbędnych informacji) – pogadanka – praca pod kierunkiem – praca z różnorodnymi źródłami (fotografie, wspomnienia Petroneli Brywczyńskiej) – praca indywidualna oraz zespołowa – tekst przewodni – dyskusja
Środki dydaktyczne	<ul style="list-style-type: none"> – fragmenty tekstów źródłowych – zadania dla grup – duże arkusze papieru, ewentualnie mazaki, klej, nożyczki, kolorowe kartki – dodatkowo można wykorzystać materiał ilustracyjny ze scenariusza zawartej w pakiecie lekcji numer 7 „Wojna i zwykli ludzie”
Czas trwania zajęć	45 minut (lub 90 minut)
Uwagi	Dobór grup może odbywać się losowo, ale może też być wyborem dla uczniów, tzn. nauczyciel przedstawia zadania, które będą wykonywali uczniowie.

Przebieg zajęć

ETAPY LEKCJI	CZAS	CZYNNOŚCI NAUCZYCIELA I UCZNIÓW
Wprowadzenie	5 min.	Prezentacja celów lekcji przez nauczyciela. Nawiązując do wcześniejszych tematów, nauczyciel prosi uczniów, by przypomnieli, które spośród ziem II Rzeczypospolitej zostały wcielone do Trzeciej Rzeszy oraz jakim represjom zostało poddane społeczeństwo polskie pod okupacją niemiecką. Na tablicy zapisany zostaje temat lekcji, ale bez dopełnienia.
Badanie przekształcanie (I)	20 min.	Nauczyciel krótko wyjaśnia, jak kształtowała się sytuacja polityczna i militarna Trzeciej Rzeszy, szczególnie na froncie wschodnim. Następnie rozdaje wszystkim uczniom (podzielonym na grupy 4–5-osobowe) tekst źródłowy wraz z zadaniami dla poszczególnych grup. Grupy wykonują je na dużych arkuszach papieru.
Prezentacja (I)	10 min.	Wybrani uczniowie prezentują efekty pracy poszczególnych grup.
Przekształcanie (II)	7 min.	Po zakończonej prezentacji nauczyciel zadaje pytania: – Jak odnosili się do siebie wzajemnie Polacy, Niemcy, Rosjanie? – Kto i dlaczego ponosił podczas działań wojennych największe ofiary? – Na czym one polegały?
Refleksja	3 min.	Nauczyciel dopełnia temat lekcji cytatem i prosi uczniów, aby zrobili to samo w zeszytach. Na koniec nauczyciel zleca uczniom zadanie: Uzasadnij, dlaczego Petronelę Brywczyńską można nazwać świadkiem historii. Zadanie domowe: Sformułuj trzy argumenty potwierdzające tezę, że Petronela Brywczyńska była, pomimo młodego wieku, świadkiem historii.
Uwagi		Tekst wspomnień Petroneli Brywczyńskiej powinien być udostępniony uczniom przed planowaną lekcją w postaci płyty CD lub wydruku, z poleceniem przeczytania/zapoznania się z tekstem. W zależności od potrzeb, bądź możliwości zespołu uczniowskiego, lekcja może być zaplanowana na dwie jednostki lekcyjne.

ZADANIA DLA GRUP**Grupa 1**

Na podstawie wspomnień Petroneli Brywczyńskiej sporządź trasę wojennej tułaczki jej rodziny oraz legendę objaśniającą poszczególne jej etapy. Podczas pracy uwzględnij czas i przestrzeń prezentowanych wydarzeń.

Grupa 2

Na podstawie wspomnień Petroneli Brywczyńskiej scharakteryzuj w punktach warunki, w jakich znajdowała się ludność polska na ziemiach niemieckich w ostatnim okresie wojny.

Grupa 3

Na podstawie wspomnień Petroneli Brywczyńskiej scharakteryzuj w punktach zachowanie żołnierzy sowieckich wobec Niemców i Polaków na zajmowanych ziemiach. Wyjaśnij, co było przyczyną takiego zachowania.

Grupa 4

Na podstawie wspomnień Petroneli Brywczyńskiej napisz, jakie wydarzenia z czasu pobytu w obozie zachowały się w pamięci dziecka i dlaczego.

Załącznik 1**Petronela Brywczyńska**

TESTAMENT DUCHOWY

Drogi Czytelniku, pragnę uchylić rąbka prawdziwej historii, jaką przeżyła 9-letnia dziewczynka więziona w obozie Sztutthof. Wiele tam przeszłam, wiele też przeżyłam, zanim trafiłam do tej fabryki śmierci. Postanowiłam opisać niektóre przeżyte przeze mnie zdarzenia, które, choć są prawdziwe, mogą się dzisiejszemu Czytelnikowi wydawać zmyślone. Zapewniam jednak, że wszystkie opisy są odbiciem autentycznych wydarzeń.

Śmierci uniknęłam tylko dlatego, że w obozie przebywałam krótko – przez 6 tygodni, do 9 maja 1945 roku. Oprawcom zabrakło czasu, żeby mnie uśmiercić: ciała ludzkie palą się powoli. Mieli jednak dość czasu na to, żeby mnie zagłodzić. Z powodu głodowego wyczerpania nie byłam w stanie opuścić obozu o własnych siłach, miałam wytrzeszcz oczu. Zostałam wywieziona na ręcznym wózku. To, że mimo wszystko przeżyłam obóz, zawdzięczam mojemu ojcu, jego mądrości i doświadczeniu, jakie wyniósł z wcześniejszego pobytu w innym obozie. Mój ojciec był wtedy młodym człowiekiem, krótko po odbytej służbie wojskowej. Wiedział, jak bezpiecznie przeżyć wojnę, gdzie i jak się ukryć. Przed bliską śmiercią uratowało mnie też samo wyzwolenie. Muszę jednak stwierdzić, że przede wszystkim Bóg Wszechmogący ocalił moje życie, czego doświadczyłam kilkakrotnie i co zamierzam przedstawić w tych wspomnieniach.

Zacznę od ucieczki, która zaczęła się w styczniu 1945 roku. Wygnano nas z miejsca pobytu, a było to w okolicach Olsztyna. Ojciec mój ze mną i z mamą przebywał na robotach w gospodarstwie rolnym w miejscowości Brennen. Miejscowość ta była położona niedaleko stacji kolejowej. Niemka, z którą opuściliśmy tę miejscowość, miała czworo dzieci. Najstarsza była Gerda. Drugi był chłopiec, którego imienia nie pamiętam, bo ciągle przebywał poza domem. Należał do Hitlerjugend. Trzeci był Willy, a najmłodsza Emi, z którą się bawiłam. Mój ojciec powoził, gdyż mąż tej gospodyni był na wojnie. Zabraliśmy się wszyscy na jeden duży, drabiniasty wóz. Przyjechaliśmy do jakiegoś miasta, nie wiem, jak się nazywało. Tu przeżyliśmy straszną gehennę. Było to nad ranem, przy blasku dnia. Widziałam mnóstwo sklepów, a w nich, na wystawach, przeróżne manekiny, jakich do tej pory nie znałam. Manekiny przedstawiały całe rodziny, ubrane w różne stroje. Bardzo mi się podobały. Miasto sprawiało wrażenie, jakby nikogo w nim nie było. Zatrzymaliśmy się w śródmieściu, w jakiejś gospodzie. Siedzieliśmy w dużej, pustej sali, słuchając odgłosów strzałów z karabinów i armat. Niemki z nami nie było – zabrali ją do jednego ze schronów przeznaczonych dla Niemców. My nie wiedzieliśmy, gdzie się ukryć. Wyszliśmy przed budynek, gdzie stał gruby mężczyzna z dużym brzuchem.

Był to właściciel gospody, Niemiec. Staliśmy obok niego. W tej samej chwili nie wiadomo skąd padł strzał, który trafił prosto w brzuch tego człowieka. Niemiec upadł na ziemię, tuż obok mnie. Wystraszeni, schowaliśmy się do wnętrza. Rannego wniesiono do sąsiedniego małego pokoju i położono na słomie.

My natomiast dzięki ojcu, który znał się na wojnie, szukaliśmy bezpiecznego miejsca. Udaliśmy się za miasto, idąc w kierunku samotnie stojącego domu. W połowie drogi zawróciliśmy jednak, bo tuż obok nas przeleciał pocisk. Wracając, zauważyliśmy murowany bunkier, w którym była ziemianka i tu się schowaliśmy. Pomieszczenie było tak wypełnione, że musieliśmy się ulokować przy samej ścianie, w rogu. Strzelanina coraz bardziej się nasilała, a najgłośniejszym słychać było ruskie działa, tak zwane katusze. Przelatywały raz po raz nad naszym bunkrem, gwizdząc i rozbijając się potem w różnych miejscach. Za każdym razem ogarniał nas strach, czy nie trafią w nasz bunkier. Trwało to dzień i noc, nikt nie wychodził, a czasem ktoś jeszcze wpadał do nas, często ranny. Część tych ludzi po krótkim czasie zmarła. W tym strachu nikt nie chciał jeść, pić ani wyjść do ubikacji. Po upływie doby ucichło, odważyliśmy się wyjść, pozostawiając w schronie zabitych. Widok, jaki zobaczyliśmy wokół naszego bunkra, był przerażający. Było tam wiele zabitych i rozszarpanych koni, a obok nich ludzi, którzy nie zdążyli dobiec do bunkra. Po drodze widzieliśmy rosyjskich żołnierzy. Byli pijani. W gospodzie, na posłaniu, leżał martwy właściciel gospody trafiony w brzuch. Radość, że przeżyliśmy, mieszała się ze strachem. Zachowanie pijanych żołnierzy było okropne. Gwałcono kobiety. W gospodzie i na ulicach szarpano kobiety, zabierając im zegarki, pierścionki, obrączki; kolczyki wrywano siłą, kalecząc uszy. Znalazła się również nasza Niemka, która była okradziona z kosztowności i prowadzono ją do gwałtu. Złapała mojego ojca za ramię, wołając: – Piter, ratuj mnie!

Ojciec wstawił się za nią, mówiąc do żołnierzy, że są młodsze kobiety. Wtedy oprawca postawił ojca pod ścianę gospody, mówiąc: – Tyś Giermaniec, ja ciebie ubiju!

Po tych słowach załadował nabój do karabinu. Mama rzuciła się wraz ze mną na ratunek ojcu, który stał bez ruchu, nic nie mówiąc. Mama zasłaniała ojca, a ja trzymałam go wpół. Żołnierz zaczął w nas celować, a wtedy mama padła mu do nóg, prosząc go o litość i całując go po nogach, a ja przeraźliwie płakałam. Żołnierz odpychał nogami mamę, próbując się uwolnić. W tym czasie podszedł do nas ktoś ze starszych stopniem, wydaje mi się, że był w innym mundurze, może w polskim, i zabrał stąd tego żołnierza.

Nasza rodzina przez dłuższy czas nie mogła dojść do siebie. Wystraszeni udaliśmy się do pojedynczego domu za miastem. W tym małym domu była tylko kuchnia i jedna izba. W kącie izby siedziało dwoje staruszków. Byli to Niemcy, bardzo przestraszeni. Przy kuchni krzątały się dwie dość młode, polskie kobiety, szczęśliwe i wesołe. Prowadziły ożywioną rozmowę z trzema żołnierzami rosyjskimi. W pewnym momencie jeden z nich wyciągnął z kilku kieszeni i położył na stół całe garście zegarków, pierścionków i innych kosztowności ze złota. Jedna z kobiet rzuciła się na te skarby, ale żołnierz schował je z powrotem do kieszeni. Żołnierze z dwoma kobietami poszli na strych, a trzeci z nich wziął moją mamę i poszedł do piwnicy, która mieściła się pod izbą. Po drabince zeszedłem do mamy. Okazało się, że mama była potrzebna do rozpoznania przetworów, które znajdowały się na półkach. W piwnicy, obok półek, leżała cała sterta zbitych słoików z przetworami, były to głównie ogórki i owoce. Żołnierza interesowały tylko przetwory mięsne. Gdy wyszliśmy z piwnicy, ojciec zabrał nas z powrotem do miasta, gdzie ponownie rozpętały się walki. Znowu było słychać strzały z karabinów i armat. Tym razem Rosjanie odpierali atak Niemców. Ponownie uciekliśmy do naszego bunkra i siedzieliśmy tu przez całą dobę, w przerażającym strachu, pod artyleryjskim ostrzałem.

Kiedy ucichło, wyszliśmy. Idąc, widzieliśmy ciała zabitych żołnierzy niemieckich. Znowu znaleźliśmy się na terenie opanowanym przez Niemców. Zorganizowali ucieczkę ludności, wypędzając nas z miasta. Znalazła się nasza Niemka z rodziną. Konie zostały ukryte przez ojca w bezpiecznym miejscu i dlatego przeżyły. Po tych strasznych przeżyciach nikt z nas nie był głodny, nie pamiętam, abyśmy coś jedli albo pili. Nie pamiętam też, co było dalej. Przypuszczam, że musiałam zasnąć na wozie. Dochodziły do mnie słuchy, że jedziemy do Pillau. Znaleźliśmy się w lesie, było tam bardzo dużo ludzi: Polacy, Niemcy i żołnierze niemieccy. Polacy byli spokojni, za to wśród Niemców panował wielki ruch, byli bardzo podenerwowani. Mieliśmy jeszcze konie i wóz. Widziałam, jak niektóre Niemki rozbijały porcelanowe kubki i talerze o metalowe obręcze kół. Robiły to z wielką złością. W lesie leżało mnóstwo porzucanych rzeczy, zwłaszcza ubrań i butów. Najczęściej były to eleganckie suknie i bluzki, nieprzydatne na tę porę roku (była to zima). Polacy wybierali sobie co cieplejsze z tych rzeczy. Poszliśmy tam i my z mamą, ale zaraz wróciliśmy, bo żołnierz niemiecki z wielkim krzykiem nas przepędził. Nasza Niemka powiedziała nam, że służba niemiecka zabiera ich na statki i mogłaby też zabrać nas, ale bez ojca – wolno było zabierać tylko kobiety i dzieci. Na tę propozycję nie wyraziliśmy zgody. Zresztą wiadomo było, że te statki były bombardowane i szły na dno razem z ludźmi. W końcu zabrano wszystkich Niemców, zabrano nam też konie i wóz. Zostaliśmy w tym lesie z naszą rodziną i z niewielką grupą Polaków. Zostaliśmy tam pod gołym niebem, bez żadnych środków do życia. W zawiniątku mieliśmy trochę cukru, sacharyny i słoniny. Przenocowaliśmy w lesie, na ziemi, w ubraniach i w butach. Rano rozpalono ogniska nad samą wodą. Zmarznięci, chcieliśmy się napić herbaty, ale mimo tego, że mieliśmy słodką sacharynę, herbaty nie udało się osłodzić, bo woda była bardzo słona. To chyba dlatego, że obok Pillau Zalew Wiślany łączy się z otwartym morzem. Pamiętam również, że gotowaliśmy jakąś zupę, okraszoną słoniną. Zupa była nieco lepsza od herbaty, bo słona woda do niej pasowała. Chodziliśmy po lesie bezradni, nie wiedząc, co z sobą zrobić. Groziła nam tu śmierć głodowa, bo w pobliżu nie było żadnych budynków ani ludzi. Wyruszyliśmy w nieznaną wraz z małą grupą ludzi, szukając ratunku. Znalazła się między nami znajoma ojca z tej wsi, gdzie ojciec był w niewoli. Miała na imię Halina. Udało się jej zdobyć wóz i konie. Uradowani dosiedliśmy się do niej i jej koleżanki na wóz. Opowiadała, jak jej się udało zatrzymać spłoszone konie. Cieszyła się i była bardzo szczęśliwa. Nagle usłyszeliśmy warkot samolotów. Bombowce! Wszyscy natychmiast uciekliśmy do lasu, bo byliśmy akurat w pustym polu. Tylko ona powiedziała, że nie będzie wysiadać. Bała się zostawić konie. Wołaliśmy ją, a jej koleżanka siłą próbowała ściągnąć ją z wozu, ale ona śmiała się i powiedziała, że się nie boi. Bombowce narobiły nam porządnego strachu. Każdy uciekał i kopał sobie dołek, żeby schować w nim głowę. Do kopania używaliśmy małych saperek wojskowych, które ktoś zabrał z transportu kolejowego. Pamiętam tylko tyle, że nie szło wykopać sobie dołka, bo ziemia była bardzo zmarznięta. Spadło kilka bomb, ale nikt nie zginął, poza tą kobietą na wozie. Samoloty odleciały, a mężczyźni poszli do zabitej, żeby ją pochować. Poszedł tam również mój ojciec, ale po dojściu na odległość 10 metrów od zabitej, zawrócił, tak jak wszyscy. Ciekawi byliśmy, dlaczego. Obserwowaliśmy to z daleka, a potem poszliśmy tam i my. Ale i my cofnęliśmy się, bo nie dało się patrzeć na zabitą. Miała ona zerwaną skorupę czaszki i widać było, jak pracowały obie półkule mózgowe. Był to przerażający widok. Poczekaliśmy w lesie jeszcze chwilę, bojąc się samolotów, które często wracały zaraz po nalocie. Mężczyźni zdjęli zabitą z wozu i pochowali ją pod śniegiem, bo ziemia była zbyt zmarznięta i nie można było wykopać dołu. Postawili prowizoryczny krzyż z drewna. Pożegnaliśmy naszą bohaterkę modlitwą. Potem wsiedliśmy na jej wóz i pojechaliśmy całą grupą dalej. Działo się to w okolicy Pillau. Dzisiaj myślę, że ona uratowała nas od śmierci, bo była widoczna i stanowiła cel dla samolotów, a bomby spadały daleko od nas.

Ujechaliśmy kawał drogi, zapadła noc. Wśród naszej grupy odbyła się narada, czy nocować w lesie, czy jechać dalej. W końcu postanowiono jechać dalej. Noc była bardzo jasna, świecił księżyc. Panował spokój, konie powolutku ciągnęły nasz wóz. Wjechaliśmy na lód, który w tym czasie był bardzo gruby. Myślę, że była to cieśnina piławska. Przeprawiliśmy się lodem w stronę Mierzei Wiślanej, w rejon dzisiejszych Piasków.

Ujechaliśmy tak po lodzie kawałek drogi, aż zobaczyliśmy przerażający widok: konie, wozy i ludzie pozarywani w lodzie, wystające z lodu nogi, ręce, głowy, koła, dyszle od wozów... Miejscami lód był dziurawy, co było spowodowane przez spadające bomby. Przekonaliśmy się, jak dobrą i ważną decyzję podjęliśmy, przeprawiając się nocą. Przed świtem znaleźliśmy się w lesie, szczęśliwie przebywając lodowy szlak.

W pagórkowatym, iglastym lesie panowała cisza. Las nie zapewniał nam jednak jedzenia – w pobliżu nie było widać żadnych zabudowań. Rankiem wyruszyliśmy w dalszą drogę w kierunku Krynicy Morskiej. Tutaj panował duży ruch, również w lesie. Stacjonowały tu oddziały niemieckich wojsk, była tu też kuchnia wojskowa. Widzieliśmy świeżo wykopane okopy i mnóstwo uciekinierów, do których się przyłączyliśmy. Konie zostawiliśmy w lesie, żeby tam szukały sobie pożywienia. Zatrzymaliśmy się w Krynicy na dłużej. Mieszkaliśmy w okopie. Mieliśmy jeszcze kawałek słoniny, którą zaspokajaliśmy głód. W okopie poznaliśmy rodzinę Czarneckich. Józef Czarnecki był starszy od mojego ojca, jego żona miała na imię Jadzia, a jego najstarsza córka, wtedy już dorosła panna – Halina. Jego syn Marian miał 18 lat, a Władek był ode mnie starszy o dwa lata. Ja miałam wtedy 9 lat i byłam starsza od ich najmłodszej córki, pięcioletniej Zosi.

Okopy były głębokie na wysokość człowieka i dość długie; można je było spotkać w całym lesie. Każda rodzina zajmowała pewien odcinek tych okopów. Mój ojciec powiedział, że będziemy tu bezpieczni. Było tu znacznie cieplej podczas snu, łatwiej też było się chować przed nalotami samolotów, które często nas nękały. Niemcy w sztabie zachowywali się dość spokojnie, ojciec mówił, że czekali na rozkazy. Zadomowiliśmy się tu, czując się dość dobrze. Zaprzyjaźniłam się z Władkiem, który biegał ze mną po lesie; raz nawet odważyliśmy się wyjść za wał ochronny na plażę; było tam bardzo blisko. Po raz pierwszy widziałam morze. Fale były wzburzone. Biegaliśmy po plaży we dwoje, goniąc jedno drugie. Byliśmy tak szczęśliwi, że na chwilę zapomnieliśmy o wojnie. W pewnej chwili usłyszeliśmy znajomy odgłos bombardowców. Samoloty były jeszcze daleko, ale ja byłam przerażona – uciekałam tak szybko, że nie pamiętam, czy dotykałam ziemi stopami. Wydawało mi się, że coś mnie unosiło w powietrzu. Oboje biegliśmy w stronę okopu, który był dość daleko. Za nami słychać było strzały z karabinu maszynowego. Udało nam się uciec i schować się do naszego okopu. Ale nalot dopiero się rozpoczął. Nadleciało mnóstwo bombardowców, które rzucały na nas bomby. Przerzedzili las, ścinając korony drzew; zginęło wówczas wielu ludzi. Mieliśmy wyrzuty sumienia, że to my byliśmy przyczyną nalotu, że zdradziliśmy miejsce pobytu ludzi, dzięki czemu samoloty miały gotowy cel. Przez kilka dni siedzieliśmy w okopie, bojąc się, że nas odkryją. Wtedy nie wiedziałam, że ginęliśmy z rąk naszych sprzymierzeńców. Takie są prawa wojny. Skończyła się nam słonina, zaczął nam doskwierać głód. Zapach kuchni wojskowej przyciągał nas, dzieci, które nieśmiało okrążały kocioł z zupą. Złitował się nad nami kucharz niemiecki i kazał przynieść nam menażki, w które wlał nam zupę. Przynieśliśmy zupę do swoich okopów, gdzie razem z rodzicami ze smakiem ją zjedliśmy. Odtąd było tak codziennie.

Zawsze chodziliśmy po zupę grupkami, bo pojedynczo nikt nie miał odwagi. Pewnego razu poszłam tam z kilkoma dziećmi. Kucharz nalał nam wszystkim zupę, a mnie zatrzymał. Byłam ogromnie przestraszona, nie wiedziałam, co złego zrobiłam. Kucharz mówił do drugiego żołnierza, że ma w domu córkę, podobną do mnie, o piwnych oczach i kręconych włosach. Mówił po niemiecku, a nie wiedział, że ja znam wtedy dobrze język niemiecki. Przytulił mnie do siebie, a ja czułam, że serce mam w gardle. Dał mi wtedy na talerzu kartofle z gulaszem i do tego deser z budyniu z sokiem wiśniowym. Jadłam bardzo szybko, żeby uwolnić się od nieprzyjaciół, których się bardzo bałam. Najbardziej smakował mi budyń z sokiem wiśniowym i chciałam się nim podzielić ze swoją mamą. Próbowałam ukryć budyń, chowając pod kołnierzyk kilka łyżeczek tego wspaniałego deseru. Zauważyli to Niemcy i strasznie ich to ubawiło. Zaczęli się śmiać, wręcz rechotali. Zawstydzona uciekałam do mamy, chcąc pokazać jej budyń, który dostałam od wrogów. Pod kołnierzykiem była tylko mokra plama. Mama zapłakała, a ja odbiegłam. Na drugi dzień mama przygotowała mi menażkę i kazała iść po zupę, ale ja powiedziałam, że nie pójdę. Ze wstydu nic jej nie powiedziałam, że wczoraj zdarzył się taki incydent. Mama nalegała, abym poszła. Dostałam nawet szturchańca, ale i tak nie poszłam. Wołały mnie również koleżanki, z którymi chodziłam codziennie po zupę. One poszły, zadowolone, a ja zostałam, patrząc na nie. Jedna z nich odwróciła się i krzyknęła: – Kędzierzawa, chodź! Ale coś mi wewnętrznie mówiło, żeby nie iść. Po jakimś czasie usłyszeliśmy, że jakieś trzydzieści metrów od nas spadła bomba. Zebrało się tam mnóstwo ludzi, pobiegłam tam i ja. Nad ogromnym dołem znaleziono tam rozszarpane ciało oraz kilka kawałków rozszarpanych ciał innych dzieci. Pozbierano, co się dało, w koc; poszliśmy z grupą ludzi pod falochron, pochować dzieci. Wykopano dół, do którego wkładano zawiniątko, a potem wszystko zasypano. Odmówiliśmy kilka razy Ojciec Nasz, Zdrowaś Maryja i Wieczny Odpoczynek. Nie pamiętam, jakie były imiona tych dzieci, nie wiem, ile ich było, pamiętam tylko, że nie było ich mało. Wróciłam do mamy i byłam bardzo smutna. Pomyślałam sobie, że mnie to mogło również spotkać. Jak to dobrze, że zdarzył się taki incydent i że wstydziłam się iść po zupę właśnie w tym czasie. To był chyba cud. Jak tu nie wierzyć w opatrzność Bożą!

Ze strachu budziłam się w nocy, nawet kiedy była cisza. Krzyczałam do Mariana: – Uciekajmy, bo lecą samoloty! Oczywiście Marian posłusznie biegł ze mną do następnych schronów. Uspokajał mnie drżącą i wracaliśmy do swoich, ale bywało i tak, że po kilka razy w nocy zrywałam się i zawsze on mi towarzyszył. Mój kolega Władek spał i nie reagował na moje zachowanie. Byłam widocznie słabsza psychicznie od innych, bo w całej okolicy tylko ja tak się zachowywałam. Przyjaźń z Marianem i później bardzo mi się przydała.

Chodziły słuchy, że mają nas zabrać do obozu. Pamiętam, że kiedyś znaleźliśmy się na skraju lasu, niedaleko Krynicy Morskiej. Tu widziałam, jak Niemcy złapali dwóch rosyjskich spadochroniarzy – młodych chłopców w wieku 14-16 lat. Nogi mieli powiązane łańcuchami. Przymocowali ich do koni. Na koniach siedzieli Niemcy, a oni musieli uciekać przed końmi, które były poganiane. Chłopcy ciągle upadali i wstawali. Był to widok tak wstrząsający, że pamiętam go do dziś. Zaraz potem odeszliśmy z Krynicy Morskiej w kierunku lasu, który prowadził w kierunku miejscowości Stutthof. Większość ludzi postanowiła pozostać w Krynicy Morskiej, a tylko my zdecydowaliśmy się wcześniej stamtąd odejść. W lesie dowiedzieliśmy się, że Niemcy zabrali pozostałych Polaków i poprowadzili do obozu w Stutthofie. Wtedy jeszcze nie wiedzieliśmy, co to jest obóz. W lesie nie było nam łatwo: doskwierało zimno i głód, a w dodatku bombowce i tu nas nie oszczędzały. Znowu strach, ucieczka i tragedie ludzkie. Podczas jednego z nalotów na las zaczęły spadać bomby. Uciekając z tego miejsca, zauważyliśmy starszą kobietę – trzymała za głowę swego męża, leżącego na ziemi. Widzieliśmy, że był on ranny w brzuch, bardzo krwawił i przeraźliwie jęczał. Chcieliśmy im pomóc, ale samoloty nadleciały po raz drugi, rzucając bomby. Ktoś krzyknął do niej, żeby go zostawiła, bo on i tak umrze. Kobieta jednak pozostała z rannym. Żał mi jej było, myślałam sobie, jak ona się boi, zostać wśród tylu zabitych, sama w lesie z umierającym mężem.

Przenocowaliśmy w tym lesie, ale daleko od miejsca nalotu. Wybudowano tam piękny szałas z gałęzi sosnowych. Odczuwaliśmy duży mróz. Było wśród nas wielu młodych ludzi, mężczyzn i kobiet. Pamiętam, że z zapalem przystąpiono do znoszenia gałęzi i w szybkim tempie szałas był nimi zakryty aż po dach. Szałas miał dwa wyjścia, które w nocy były zasłonięte kocami. W szałasie zrobiło się tak wesoło i miło, że zapomnieliśmy o wojnie. Spaliśmy grupkami, rodziny razem, a ludzie samotni pojedynczo. Słyszałam, jak jakiś młody człowiek podrywał sobie pannę. Namawiał ją do grzechu i tłumaczył jej: – Co się martwisz, i tak zginiemy. Muszę jednak przyznać, że w szałasie nic złego się nie działo. Ta para wyszła. Noc upłynęła spokojnie.

Obudziłam się szczęśliwa, bo nie było tak zimno, a zapach gałęzi choinek był tak silny, że nawet jeść się nie chciało. Dobrze nie pamiętam, ale chyba spędziliśmy tu tylko jedną noc. Wiem, że niechętnie odchodziłam z tego miejsca, myślałam: tyle pracy i tylko jedna noc. Mróz trzymał potem jeszcze parę dni. Martwiliśmy się, że zamrzniemy. Pilnowaliśmy się nawzajem podczas odpoczynku, żeby ktoś nie zasnął. Nikt nie zasnął, bo biegaliśmy i ruszaliśmy się przez całą noc. Ale przez to w dzień byliśmy bardzo zmęczeni. Postanowiliśmy poszukać jakiejś stodoły albo szopy. Znaleźliśmy budynek, ale był on zamieszkały. Ojciec i Czarnecki poszli tam zapytać, czy pozwolą nam przenocować w stodole. Gospodyni podłożyła więcej słomy i kazała nam się położyć w oborze, pomiędzy krowami. Pomiedzy jedną a drugą krową mieściły się dwie osoby. Ja spałam z mamą, a po jednej i drugiej stronie ogrzewały nas zwierzęta. Ojciec leżał dalej, tak samo Czarnecki z rodziną. Pozwolono nam tam zostać tylko do świtu. Krowy były bardzo spokojne, całą noc leżały, nie wstając. Bałam się, że jak zasnę, to mnie krowa zgniecie albo nadepnie. Mama mnie uspokajała, że tak nie będzie. To brzmi nieprawdopodobnie, ale tej nocy było nam chyba najcieplej i najwygodniej; wstaliśmy, dziękując Bogu, że tak się nam powiodło.

Po opuszczeniu tego domu poszliśmy znowu do lasu. W oddali słychać było, jak do obozu jechały kolejki. W lesie też zaczęło się robić niespokojnie, pokazywali się Niemcy, którzy zabierali ludzi do obozu. Ojciec mówił, że musimy poszukać lepszego schronienia. Wyszliśmy z lasu w kierunku pola. Z daleka widać było ogromny stóg słomy rzepakowej. W naszej grupie były cztery rodziny. Byli Czarnecki, byli Golejasowie z Warszawy, których ojciec przekonał, żeby się przyłączyli. Byli z rodzicami i z malutkim dzieckiem. Do Czarneckich przyłączył się Sadowy – stary kawaler, który zakochał się w ich starszej córce Halinie.

Wszyscy wspólnymi siłami wyrwaliśmy z boku tej sterty dziurę, która odtąd służyła nam za mieszkanie. W środku, na drewnianych podpórkach zawiesiliśmy koc oraz części garderoby, żeby słoma nie sypała się nam w oczy. Mieliśmy ciężką walizkę, którą nam dał jakiś mężczyzna, było to w tym lesie, w którym Niemcy zbierali ludzi. Mężczyzna nie wracał, a my się ukrywaliśmy za małą górką, nim dotarliśmy do tej sterty rzepaku. Ojciec miał dość dźwigania tej walizy, ale jak się później okazało, w tej walizie było pełno czekolady w tabliczkach. Był to twarda, gorzka czekolada. Prawdopodobnie ten człowiek pracował w fabryce czekolady i w ten sposób chciał zabezpieczyć sobie przetrwanie. Nie wiem, co się z nim stało, być może został zabrany przez Niemców. Czekolada została u nas i pomogła nam przeżyć. Daliśmy też czekoladę naszym współtowarzyszom.

Tu przeżyliśmy resztę zimy i doczekaliśmy się Wielkanocy. W pobliżu sterty był kopiec z ziemniakami: kilka razy dziennie czołgałam się tam na brzuchu, przynosząc po trzy ziemniaki. Bałam się bardzo, bo w niewielkiej odległości było wielkie gospodarstwo, w którym stacjonowało wojsko niemieckie. Serce mocno biło mi ze strachu. Piekliśmy ziemniaki w ogniu, na ognisku; żeby nie było widać ognia i dymu paliliśmy ognisko w dzień, kiedy było widno, a dym rozpędzaliśmy gałęziami. Pomagaliśmy też sąsiadce suszyć pieluszki nad ogniskiem. Ognisko mieściło się w dolinie. Dość często przelatowały nad nami samoloty. Nie były to bombowce, lecz bardzo wolne dwupłatowce; nazywano je kukuruźniki. Słychać było, jak się zbliżają, z powolnym pyrkaniem. Kiedy ucichły, wiadomo było, że w tej chwili spadnie bomba, działo się to zawsze w nocy. Bombowce słychać było w oddali.

Życie toczyło się nam wyjątkowo spokojnie jak na owe czasy. Głód dokuczał coraz bardziej, ale nikt nie odkrył naszego schronienia. Pisałam o Marianie, który mnie uspokajał w Krynicy Morskiej, kiedy się bałam samolotów. Nasza przyjaźń trwała nadal, bo prawdziwego przyjaciela poznasz w biedzie. Marian okazał się prawdziwym przyjacielem. Pochodził z Warszawy, umiał grać na organkach i akordeonie. Umiał też ładnie gwizdać, był bardzo wesoły, odważny i cwany. Wypuszczał się po okolicy, żeby zbadać, czy nie uda się zdobyć czegoś do jedzenia. W najbliższym sąsiedztwie stacjonowały niemieckie wojska i tam właśnie się udał, czatując na moment rozładunku samochodów z zaopatrzeniem dla Niemców. Narażał się na wielkie niebezpieczeństwo, mimo to udało mu się kilka razy ukraść jakąś konserwę albo chleb. Dzielił się tym z nami, ale sprzeciwiła się temu jego rodzina. Ale nadal to robił po kryjomu, bezinteresownie. Każdorazowe zdobycie czegoś do jedzenia poprawiało nam humor. Cieszyliśmy się, bo był to koniec marca. Z ziemi zaczęły wyrastać pędy szczawiu, który mógł nam zapewnić jakiś posiłek. Humor nam się jednak popsuł, gdy jakieś 10 kroków od nas spadła bomba. Zrzucił ją kukuruźnik, słyhać go było za każdym razem, kiedy przelatywał nad nami. Zawsze się wtedy budziłam, sparaliżowana strachem. Bóg jednak nie chciał, żebyśmy zginęli, bo bomba nie wybuchła. Samolot z pyrkotaniem odleciał, a my poszliśmy zobaczyć, co się stało. W odległości 10 kroków od nas leżała duża, podłużna bomba.

Działo się to w nocy. Rano przyszli do nas umundurowani Niemcy, żeby zabezpieczyć bombę. Zapewne oni też słyszeli, jak została zrzucona. Przyniesli jakieś narzędzia i ogrodzili ją w ten sposób, żeby nikt na nią nie wszedł. Przy okazji odkryli miejsce naszego pobytu. Zaczęli na nas krzyczeć, dziwili się, co my tu robimy, dlaczego nie jesteśmy w obozie, gdzie dadzą nam jeść i będziemy mieli dach nad głową. Oczywiście mówili po niemiecku i bardzo przy tym bluźnili, mówiąc „fafluchte donerweter”, „polnisze szwajne raus” itp. Kazali nam się spakować, a potem przyszli inni Niemcy, w mundurach i z karabinami i pognali nas kolbami. Po drodze, w lasku obok obozu spotkaliśmy jeszcze sporo ludzi, którzy razem z nami zostali pognani do obozu. Przed bramą obozu stał strażnik z karabinem. Obok bramy stała wieża zbudowana z desek, też pilnowana przez uzbrojonego strażnika. Obóz był ogrodzony drutem kolczastym.

W bramie zrobiło się strasznie ciasno, gdyż kilku mundurowych rewidowało nas, macając od stóp do głów. Trzymaliśmy się we trójkę za ręce, żeby się nie zgubić. Następnie pognali nas pomiędzy długimi barakami; po drodze minęliśmy kilkanaście zamieszkanymi baraków. Później policzyłam, że w trzecim baraku od dużego budynku za drutami mieściła się niemiecka komendantura. W baraku było bardzo dużo ludzi. Słyhać było różne języki. Prócz polskiego także włoski, francuski, białoruski itp. Najbardziej zapadła mi w pamięć pierwsza noc. Spaliśmy na podłodze, jeden obok drugiego. Było tam strasznie ciasno, nie można było się obrócić. Kto tylko się przesunął, ten już nie mógł się zmieścić na podłodze, musiał siedzieć lub stać. Najlepiej pamiętam grupę włoską, która trzymała się razem.

Codziennie wpadało do nas kilku esesmanów, którzy różnili się od innych żołnierzy tym, że na czapkach mieli trupie czaszki, co oznaczało, że byli panami życia i śmierci. Mieli prawo zabić każdego, kto im się nie podobał i nie ponosili za to żadnych konsekwencji. Mundury mieli w kolorze jasny brąz, nazywaliśmy ich „osy”. Zachowywali się agresywnie. Wyglądało na to, że byli pod wpływem jakichś środków odurzających, a może alkoholu. Krzyczeli i strzelali w sufit z pistoletów. Mieli też w rękach tak zwane pyty – kto otrzymał nimi cios, ten miał ślad na zawsze. Wewnątrz tego narzędzia były druty, pokryte gumową osłoną. Znalazł się obok mnie taki oprawca, widziałam, jak uderzył Francuza w ucho. Ucho natychmiast leżało koło mnie. Byłam mała, chowałam się za innymi. Wyłapywali spośród nas mężczyzn, zabrali również mojego ojca. Wiadomo było, że poszli oni kopać okopy na pierwszą linię frontu. Wieczorem wielu z tych mężczyzn nie wróciło, gdyż zginęli podczas nalotów. W obozie z dnia na dzień robiło się luźniej.

W naszym baraku leżało wiele drzewców do karabinów. Podobno poprzedni więźniowie robili karabiny dla Niemców. Pozostawione drzewce to były odpady, nienadające się do karabinów. Mój ojciec pozbierał te odpady z różnych kącików, ja mu w tym pomagałam. Zaczęłam budować piramidy. Ojciec zabrał mi jednak te zabawki, bo były potrzebne do zbudowania dla nas łóżka. Ojciec zbudował trzyosobowe łóżko w samym rogu izby. Łączył i wiązał drewniane elementy różnymi sznurkami i paskami ze skóry, które przynosił z ogromnej sterty butów dziecińczych. Na tym łóżku spaliśmy do końca. Podczas zabierania mężczyzn do okopów ukrywaliśmy ojca pod łóżkiem. W kwietniu słońce świeciło już bardzo mocno, na dworze było ciepło. Biegałam na dworze, bawiąc się z innymi dziećmi z sąsiednich baraków. Niektóre dzieci opowiadały mi, że pójdą do łaźni, bo ich sąsiedzi już tam poszli. Ja też widziałam, jak kobiety i dzieci szły do łaźni, na rękach miały pozawieszane ręczniki. Mężczyzn tam nie widziałam. Przybiegłam do mamy mówiąc: – Wiesz, mam, moje koleżanki poszły do łaźni! Mama mówiła, że mogliby i nas wziąć, tak skóra swędzi. O, jak ja im zazdrościłam! Musieliśmy się zadowolić tą łaźnią, która była w części baraku po drugiej stronie drogi. Była tu zimna woda i koryto, takie, jakie mają zwierzęta w chlewie. Tu można też było napić się wody. Pierwszym jedzeniem, jakie dostaliśmy po kilku dniach, była zupa, którą dawano potem co drugi dzień. Pachniała trochę mięsem, ale była tak obrzydliwa, że nie wiem, czy najbardziej wygłodniały pies by ją zjadł. Wielu ludzi jej nie jadło, nie jadła również moja mama, która w tym czasie była w ciąży (później miała urodzić mojego brata, Janusza). Ojciec i ja jedliśmy tę zupę, zdmuchując z niej końską sierść, która pokrywała całą powierzchnię. W środku było błoto i piach. Niektórzy mieli szczęście, bo trafił im się wyrostek z ziemniaka. Bywało, że niektórzy się o niego bili.

Do gotowania tej zupy zabierano niektóre kobiety, które opowiadały, jak pod lufą karabinu musiały wrzucić do kotła wiadro piachu i błota. Gotowano ją na skórze końskiej. Widziałam, jak przed stołówką na dworze była zawieszona cała szynka od zabitego konia z frontu. Mięso to było przeznaczone dla psów, które były tresowane do atakowania ludzi na podwórku. Pamiętam, jak psy zaatakowały ludzi, którzy zdobyli sobie coś do jedzenia. Zdobyli jakieś zboże podczas kopania okopów. Z dwóch puszek od konserw zrobili młynek, dziurawiąc puszki gwoździem. Jedna puszka była większa, druga mniejsza. Rozcierali zboże i w ten sposób robiła się kasza, którą potem rozklejali w wodzie. Zapach tej kaszy był tak wspaniały, że nęcił każdego przechodnia. Do ogniska wrzucano małe buciki, na których gotowano strawę. Była tam ogromna góra tych bucików przeróżnych rozmiarów. Widziałam też buty ortopedyczne i protezy. Wydobywał się z tego ogniska straszny smród. Wtedy to Niemcy przyprowadzili tresowanego psa, który rzucał się na tego, co gotował. Wilczur gryzł go i szarpał aż do krwi i do ran.

Ta sterta butów była dla nas zagadką, której rozwiązanie odkryliśmy po wyzwoleniu. Właściciele bucików to zagazowane (w pseudolaźni) i spalone dzieci, idące tak chętnie do kąpieli. Niemcy zabronili gotować na dworze. Zaczęto gotować w barakach, zwykle wieczorem, kiedy Niemcy nie wchodzili do nas. Gotowano jednak sporadycznie, bo coraz trudniej było zdobyć coś do jedzenia. Głód dał się nam dobrze we znaki, widać to było po nas. Większość z nas miała ogromny wytrzeszcz oczu. Byliśmy też bardzo słabi, nie bawiłam się już, bo mi się nie chciało. Przesłali nam gotować wspomnianą zupę. Kilka razy dostaliśmy po pół kromki chleba co drugi dzień. Był to jeden mały chleb na 24 osoby. Pamiętam, że był na wagę złota. Pilnowałam, żeby żadna okruszynka nie spadła na ziemię. Miałam trzy porcje dla siebie: jedną swoją i dwie rodziców, którzy zawsze mi swoje oddawali. Dzieliłam to na dwa dni. Włosi gotowali kaszę na ognisku w baraku. Zapach tej potrawy nie dawał mi spokoju. Podeszłam bliżej tego ogniska, a było nas tam wiele dzieci. Obstąpiliśmy ognisko dookoła i wdychaliśmy ten wspaniały zapach. Czulałam, że nozdrza rozrywał mi ten wspaniały zapach, którym próbowałam się nasycić. Jeden z nich, ten, który dokładnie dzielił potrawę pomiędzy swoich, dał nam po jednej łyżeczce...

Pamiętam też w obozie ogólny apel, na który mieliśmy wszyscy się stawić. Z wieży słychać było w różnych językach, że na apel mają stanąć wszyscy dorośli, dzieci a nawet chorzy. Dzień był pochmurny. Wszyscy wyszli z baraków; było nas tak dużo, że zrobił się straszny tłok. Z wieży, czyli tzw. bociana, słychać było przez mikrofon: – Patrzcie przed siebie, na prawo! W tym strasznym tłoku nic nie widziałam, byłam mała. Pytałam mamę, co widzi, ale nie była rozmowna. Ludzie wzdychali i spuszczały oczy na dół. Głos z mikrofonu informował, że spotka to każdego z nas, kto się dopuści ucieczki. Ludzie się rozeszli, a ja byłam ciekawa, co tam było, aż zobaczyłam szubienicę, a na niej wiszącego mężczyznę.

Czasem przelatywały nad nami bombowce. Pewnego razu siedzimy na naszym łóżku i patrzymy w okno. Usłyszeliśmy, jak wyjątkowo nisko przeleciał samolot, zrzucając bombę. Drogą pomiędzy blokami szło trzech ludzi. W jednej chwili dwóch z nich znalazło się na dachu, a trzeci został odrzucony w bok. Pobiegłam zobaczyć. Było tam już parę osób, między nimi jeden kolega tych zabitych na dachu. Opowiadał, jak jeden z tych zabitych miał sen. Śniło mu się, że był w domu, wśród swoich... Przyniesiono drabinę i dwóch mężczyzn weszło na dach, żeby zrzucić zabitych. Uciekłam, bo nie mogłam na to patrzeć. Było to naprzeciw naszego baraku.

Samoloty bombardowały nasz obóz coraz częściej. Spadły też bomby na jeden z baraków odległych od naszego. Poszła tam moja mama. Kiedy wróciła, opowiedziała mi, co tam widziała. Poszła tam z myślą, że może znajdzie tam coś do jedzenia, bo dowiedziała się, że zginęli tam wszyscy prócz jednego, starego, niedołężnego człowieka, który nie chodził. Mama poszła tam jednak zbyt późno, było tam już dużo ludzi, szukających jedzenia, ona już nic nie znalazła. Byliśmy coraz słabsi, siedzieliśmy w baraku. Często toczyły się rozmowy pomiędzy moimi rodzicami i Czarneckimi. Zastanawiano się, dlaczego tak mocno dymi ten wysoki komin: w dzień i w nocy nigdy nie przestawał dymić. Dym był mocno czarny. Ludzie zaczęli chorować na tyfus brzuszny. Rano można było zobaczyć przez okno leżące ciała, które potem zbierano specjalnymi wózkami na dwóch kołach. Potem w dzień i w nocy słychać było, jak jechały duże samochody wywożące ludzi z drugiej części obozu za drogą. Siedzieli tam Żydzi i polityczni, to właśnie ich wywożono; nie wiem dokąd. Pamiętam piękny, słoneczny poranek. W baraku słychać było straszny trzask. Wszyscy zaczęli wychodzić, w przejściu powstał tłok. Z okna było widać mnóstwo dymu. Kiedy wyszłam na zewnątrz z rodzicami widać było, że na dworze było nas tak dużo, jak na apelu. Paliły się baraki po przeciwnej stronie drogi. Ludzie byli przerażeni, zaczęto układać plan ataku na bramę. Mówili, że będą do nas strzelać, ale większość ucieknie. Zaraz też z bociana słychać było w różnych językach informację, że nic nam nie grozi, proszę się rozejść. Życie toczyło się dalej, był maj, Niemcy już nie wchodzili do baraków i nie zabierali mężczyzn na okopy, ale też nie dawano nam nic do jedzenia. Chodziliśmy do łaźni pić wodę. Mama już nie chodziła. Siedziała pod łóżkiem, na jakimś garnku. Ojciec ją sadzał i wysadzał. Wynosił garnek, a ja przynosiłam wodę w menażce. Mama zachorowała na tyfus brzuszny. Garnek był potrzebny, ponieważ miała krwawą biegunkę.

Robiło się coraz cieplej. Niemcy byli coraz spokojniejsi. Pojawili się sami Ukraińcy, którzy służyli w niemieckim wojsku. Pilnowali, aby ktoś nie gotował na dworze, ale i tak już nie było co gotować. Obok drucianego ogrodzenia mieliśmy wybudowaną latrynę. Był to głęboki dół, nad którym zawieszono długie, drewniane drągi. Siadało się na ten drąg i w ten sposób się załatwiano.

Było coraz więcej chorych na tyfus i to oni zajmowali dużą część latryny. Siedział tam ojciec jednego chłopca. Ukraińiec wycelował karabin w tego człowieka, który wpadł do środka. Chłopiec płakał, nie miał już matki, zginęła podczas nalotu. Wystraszona uciekłam do baraku. Wlazłam na łóżko i patrzyłam przez okno. Zauważyłam, że na środku przeciwnego baraku zawieszają biały materiał; po obu stronach postawili zielone brzoźki. Było to pod wieczór. Pośrodku tych drzewek stanął jakiś mężczyzna i zaczął się modlić. Zaczęli się schodzić ludzie, poszłam i ja. Okazało się, że było to nabożeństwo majowe z udziałem księdza, który nie miał na sobie szat liturgicznych. Śpiewaliśmy Litanię loretańską, a potem pieśni majowe. Było tak co dzień, nikt nam nie przeszkadzał, nawet Ukraińcy, ale było to już kilka dni przed zakończeniem wojny.

Mama była coraz słabsza. Ojciec wyprowadzał ją na dwór, ale ciągle siedziała na tym garnku. Ojciec w tym czasie pilnował, czy nie zbliża się jakiś strażnik. Wiadomo, że strażnik by ją zabił; w ten sposób chcieli zlikwidować epidemię.

Pewnego razu w baraku zrobiło się straszne zamieszanie i poruszenie. Ludzie zaczęli biegać, wychodzić, dyskutować. W rękach mieli ulotki, które zrzucił samolot. Czytali je, a były one w różnych językach. Miałam i ja kilka, ale patrzyłam na nie z przykrością, bo nie umiałam czytać. Było ich bardzo dużo. Dzieci ciągle biegały po następne, ale ja nie poszłam, bo byłam zbyt słaba. Z tego co wiem, skierowane były do Niemców. Podejrzewam, że Niemców już nie było, gdyż uciekli, pozostawiając Ukraińców. Bociany natomiast do końca były obstawione strażnikami, straż stała też w bramie. W komendanturze byli sami Ukraińcy, których było doskonale słychać w ostatnią noc przed wyzwoleniem. Z rozmów, które prowadzili ludzie, wynikało, że w ulotkach było napisane, żeby Niemcy się poddali, gdyż nie mają szans obrony. Wszystkie tereny zostały zdobyte a pozostaliśmy tylko my, w obozie. Jeśli się nie poddadzą, to przyleci wielka ilość samolotów ruskich, polskich, amerykańskich, angielskich i nie pamiętam jakich jeszcze, zmiotą ich z powierzchni ziemi. Ponieważ nikt z nas nie wiedział, jaka będzie decyzja Niemców, stąd powstało takie zamieszanie. Zaczęto rozmyślać, w jaki sposób się obronić. Wszyscy przystąpili do zrywania desek z podłogi i kopania okopów. Podczas kopania część z nas musiała wyjść na dwór. Pod wieczór, o zmroku, chodziliśmy często do ubikacji: nie wiem, skąd się to brało, przecież nic nie jedliśmy, tylko piliśmy wodę. Chodziliśmy tam często z ciekawości, gdyż stąd było widać i słychać zbliżający się front. Pomagając sobie nawzajem, stawaliśmy na drągi latryny i rozglądaliśmy się, żeby coś zobaczyć. Widać było tylko łuny pożarów. Paliły się domy. Kiedy okopy były gotowe, wszyscy weszli do środka. Rozebrano nasze łóżko. Słychać było płacz dzieci, ja również płakałam, dlatego, że mieliśmy oczy zasypane piachem, było ciasno. Rodzice mnie przytulali i wycierali oczy. Choć była noc, nikt nie spał. Ksiądz z majowego modlił się z nami całą noc, jeden pacierz za drugim. Odmawialiśmy różaniec. Podczas całej nocy słychać było straszne orgie w komendanturze; było to po sąsiedzku. Byli tam chyba sami Ukraińcy, służący w niemieckim wojsku. Grali na akordeonie, śpiewali i tańczyli kozaka. Słychać było krzyki i gwizdy, a wszystko dobrze zakrapiane alkoholem. O świcie wszystko ucichło. Baliśmy się wyjść na dwór. Znaleźli się jednak odważni i wyszli, a za nimi poszli następni. Było nas znacznie mniej niż na apelu, bo niektórzy nie mogli wyjść o własnych siłach. Mnie i moim rodzicom przy pomocy innych udało się wyjść, a to dlatego, że byliśmy tymi, którzy trafili tu dość późno: Niemcy nie zdążyli się za nas wziąć. Nasza rodzina przeżyła w obozie 6 tygodni. Po wyjściu z baraku usłyszałam akordeon. Wraz z rodzicami poszłam w kierunku drogi, do ogrodzenia za latryną. Widziałam niewiele, bo druty były zajęte przez ludzi, którzy przybyli tu wcześniej, o własnych siłach. Po jakimś czasie zrobiło się luźniej, bo niektórzy odeszli od ogrodzenia. Patrzyłam na drogę. Widziałam jadące wozy konne; konie miały na grzbietach ruskie kabłąki. Muzyki już nie było słychać. Na wozach siedzieli ruscy żołnierze, pierwszofrontowcy, bardzo brudni na twarzach. Widać było ich białe gałki oczne i zęby, jak się ktoś uśmiechnął. Prawie wszyscy byli ranni. Mieli bandażę na głowie, rękach, nogach. Widać było, że byli bardzo zmęczeni, niektórzy zasypiali. Tak się przyglądałam, że nie zauważyłam, jak zostawili mnie rodzice, ale się nie bałam – widziałam, że stoją obok dzieci Czarneckich. Patrzyłam dalej. Wozy przejechały, a za nimi rosyjscy żołnierze prowadzili w kajdankach, ósemkami Ukraińców, którzy tak się dobrze bawili w nocy. Mieli oni smutne miny. Ku mojemu zdziwieniu, Ukraińców było bardzo dużo, aż nie mogłam uwierzyć, że się zmieścili w niezbyt dużym budynku komendantury. Ludzie pytali Rosjan, co z nimi zrobią, a oni odpowiadali: – Ubijom!

Znaleźli się wreszcie moi rodzice, bardzo przerażeni. Opowiadali innym, co widzieli. Poszli zobaczyć, co się działo dalej, w obozie. Zobaczyli fabrykę śmierci, komorę gazową (zwaną łaźnią), a w niej zatrute ciała, które oczekiwały na spalenie. Obok był piec, w którym spalano te ciała, był nawet piec, w którym palono stosy ciał, obok były beczki z paliwem. Dowiedzieli się wreszcie, dlaczego wysoki komin tak czarno dymił...

Chciałam tam iść, zobaczyć, ale byłam zbyt słaba, a rodzice nie pozwolili. Powiedzieli, że to zbyt straszne. Zaraz potem widziałam, jak ojciec postawił garnek, na który usiadła mama, podtrzymywana przez ojca i Czarneckiego. Nie weszliśmy już do baraku, ani ja, ani mama. Tata wziął mnie i poszliśmy za bramę obozu. Wyzwolono nas w ostatnim dniu wojny, a więc było to 9 maja 1945 roku, o świcie. W bramie i na bocianach nie było już strażników. Po przeciwnej stronie obozu było ogrodnictwo. Pamiętam, że mnóstwo ludzi biegało po szklarniach i inspektach, deptając nogami po szkle i małych roślinach. Byli tam również żołnierze rosyjscy. Wydaje się, że ludzie szukali tam jedzenia. Ojciec poszedł tam jednak w innym celu, a mianowicie szukał wózka. I tak trudno było nam chodzić, a tym bardziej biegać po tych szklach. Byłam zbyt mała i słaba. Nogi mi wpadały w ziemię, nie miałam siły nadążyć za ojcem. Płakałam i przewracałam się, kalecząc się o szkło.

Ojciec wrócił i wziął mnie za rękę. Deptaliśmy pięknie już wtedy rozwinięte, kolorowe bratki. Żał mi ich było, ale nie było innej drogi. Ludzie coś gryźli, a była to chyba rzodkiewka, ale myśmy jej nie spotkali. Wreszcie wyszliśmy ze szklarni, na jej zaplecze gospodarcze. Ojciec zaczął się rozglądać. Otworzył drzwi jakiejś komórki, wyciągnął z niej bardzo ładny, mały wózek, identyczny jak wóz konny. Wózek był mniej więcej wielkości normalnego stołu. Miał dyszel zakończony uchwytem w kształcie małego krzyża i koła na żelaznych obręczach. Boki były zrobione z drabinek. Wózek bardzo mi się podobał, był mocny, nowy, zabawny i bardzo starannie zrobiony. Wsiadłam na ten wózek, a ojciec jeszcze czegoś szukał. Przyniósł sznurki, wrzucił je na wózek i pociągnął mnie do mamy. Z pasków i sznurków zrobił zaprzęg do ciągnięcia wózka. Pomógł mamie wejść na wózek. Przepasał się przez ramię, jedną ręką trzymał dyszel i ciągnął nas. Wyjechaliśmy z obozu, drogą w kierunku Elbląga. Razem z nami, w tym samym kierunku, jechali i szli ludzie z obozu. Oni mieli gorsze wózki: małe, dziecinne, spacerówki i głębokie. Nasz wózek był okazały. Siedzieliśmy w nim obie z mamą. Mama była bardzo słaba, nie mogła iść, a ja też byłam słaba i strasznie chuda.

Ojciec mówił, że jesteśmy lekkie. Z tego, co wiem, nie było mu jednak lekko. Pamiętam ojca, jak odpoczywał, przystając, odwracał się do nas i widać było, że jest bardzo słaby. Przerazał mnie widok jego oczu, które na wychudłej twarzy sprawiały wrażenie, jakby były na wierzchu. Tak samo wszyscy wyglądaliśmy, ale sami siebie nie widzieliśmy. Po drodze, w lesie, ojciec znalazł konia. Koń był wychudzony, wyglądał na chorego. Szukaliśmy dla niego jedzenia: zerwałam jakieś zielsko i suchą trawę, podałam mu ją do pyska, ale koń nie chciał. Ojciec przywiązał konia do naszego wózka. Nie pamiętam, jak długo ten koń nas ciągnął. Ojciec pomagał mu, pchając wózek pod górę. Widziałam, jak koń kilka razy się przewracał, ale wstał i dalej ciągnął, aż w końcu upadł, dostał drgawek i zdechł. Pozostawiliśmy go i pojechaliśmy dalej.

Nie pamiętam, gdzie nocowaliśmy i co jedliśmy. Pamiętam, że po drodze nie było widać żadnych budynków, a mimo to wyraźnie czułam zapach gotowanych ziemniaków. Nie wiem, czy to była prawda, czy urojenie. Przyjechaliśmy wraz z innymi do Elbląga, przeprawiając się przez jedyny czynny most, obok dzisiejszej przystani. W kanale prawie nie było wody. Most był bardzo słaby, uszkodzony, można było po nim przejechać tylko takim wózkiem jak nasz. Wozy konne i samochody nie miały na to szans, bo most był słaby i miał kilkanaście dziur od pocisków. Widać było, że toczyły się tu straszne walki. Po obu stronach kanału widać było trupy żołnierzy. Za mostem wszystko było w gruzach: kościół św. Mikołaja, dzisiejsza Galeria El, rozwalone domy na Starym Mieście... Po przejechaniu mostu Czarnecki powiedział do ojca: – Wiesz co, musimy trzymać się razem. On miał do mojego ojca zaufanie, bo podczas wojny ojciec okazał swoją mądrość i zapewniał innym bezpieczeństwo.

Znaleźliśmy się w centrum miasta. Tam zajęli się nami rosyjscy żołnierze. Zabrali nas wszystkich i zaprowadzili do dwóch długich bloków przy ul. Brzeskiej, które stoją do dziś. Tutaj nastąpiła selekcja. Rozdzielono nas od mężczyzn. Kobiety i dzieci zamknięto po prawej stronie domu, a mężczyzn po drugiej stronie ulicy. Zaczęłyśmy płakać, nie wiedząc, co z nami wszystkimi zrobią. Byłyśmy zamknięte, nie mogłyśmy wyjść. Siedzieliśmy na parterze. W pewnej chwili ktoś zapukał do naszego okna od podwórka. Był to ojciec wraz z Czarneckim i Sadowym. Przez otwarte okno wyszłam ja, potem mama a potem cała rodzina Czarneckich. Okazało się, że mężczyźni uciekli z budynku po przeciwnej stronie ulicy przez okno, po rynnie. Natychmiast wszyscy ukryliśmy się w krzakach, a stamtąd bocznymi uliczkami trafiliśmy na ul. Cichą. Wydawało się nam, że nowe miejsce będzie bezpieczne: w pobliżu nie było widać ani słyhać nikogo. Ojciec wybrał dla nas jakiś mały dom z ogródkiem. Czarneckich było siedmioro, poszli szukać większego domu. W domu zastaliśmy na stole gotowane ziemniaki. Szafy były puste. Stało tam jakieś łóżko, była też leżanka, na której położono mnie. Pierwsza noc minęła spokojnie. W dzień wyszłam na dwór. Na ulicy przez dłuższy czas nie widziałam nikogo. Przyszedł do nas Czarnecki, powiedział do mojego ojca: – Chodź, idziemy szukać jedzenia, są tu rozbite sklepy! Ale mój ojciec powiedział, że on nie pójdzie. Nie wiem, dlaczego tak powiedział, czy nie miał siły, czy się bał, czy gniewał się na Czarneckiego, że nie pomagał ciągnąć wózka. Wiem, że mama gotowała coś z mąki, nie pamiętam już, co to było i skąd to mieliśmy. Myślę, że rodzice znaleźli jedzenie w tym domu. Najtrudniej było o sól.

W następną noc mieliśmy gości. Walono mocno w drzwi, które były otwarte, bo nie mieliśmy klucza. Weszło dwóch rosyjskich żołnierzy. Szukali wódki i młodych dziewczyn. Podeszli do mnie. Byłam przykryta kocem, jeden z nich odkrył mnie i powiada: – Eto rebionko! Na to drugi powiedział, że charasza. Biło mi mocno serce, oczyma wyobraźni widziałam już gwałty, ale na szczęście poszli. W drugą noc było to samo. Ojciec postanowił wyprowadzić się na wieś. Uważał, że tam będzie bezpieczniej. Poszedł do Czarneckiego, razem z nim szukać jakiejś wolnej chałupy. Uszli dość daleko, zanim znaleźli dwa domy stojące obok siebie. Wrócili i zabrali nas do tych domów, a było to 15 maja 1945 roku, w miejscowości Kamionek Wielki na kolonii. Wolnych mieszkań było wiele w mieście i na wsi, co lepsze były zajęte przez rosyjskie wojsko.

Tutaj poczuliśmy się bezpiecznie, ale nie na długo. Ruscy zaczęli nas odwiedzać w dzień i w nocy. Szukali zawsze tego samego. Przyprawdzili raz ojcu konia, ale w nocy go zabrali. Pamiętam, że codziennie gotowany był szczaw, którego w tym czasie było na łąkach pod dostatkiem. Bardzo go lubiłam, choć był jałowy, bez śmietany i okras, ale z ziemniakami. Zaraz po zamieszkaniu na wsi zachorowałam: dostałam silnej gorączki, a całe ciało miałam we wrzodach.

Co prawda te wrzody zaczęły się pokazywać znacznie wcześniej, ale przybywało ich coraz więcej. Miałam je na głowie, szyi, rękach, nogach, brzuchu i plecach, wciąż powstawały nowe czyraki. Mama oczywiście jeszcze była chora na tyfus. Dalej siedziała na garnku, tym razem był to garnek gliniany. Moja choroba pogarszała się, gorączka nie ustępowała. Byłam coraz słabsza, czyraki wyciągały ze mnie dużo krwi i wody, przez co osłabiły i odwodniły i tak słaby organizm. Ojciec zabrał mnie do miasta, szukając lekarza. O chłodzie i głodzie siedzieliśmy przez cały dzień i noc na ul. Traugutta, na placu przed Szkołą Podstawową Nr 1 w Elblągu. Do tej szkoły później chodziły nasze dzieci. Wtedy był to szpital weneryczny. Czekaliśmy tak całą dobę, ale nas nie przyjęto. Na placu pełno było wózków dziecinnych, a na nich siedziały niemieckie dziewczyny zgwałcone przez ruskich. Widziałam pełno krwi, która spływała z wózków na plac, niektóre z dziewczyn umierały i ich matki odjeżdżały, z płaczem opuszczając szpital. Uważałam, że moja sytuacja jest lepsza, choć nie było dla mnie pomocy. Ktoś powiedział ojcu, że na ul. Sienkiewicza wprowadził się lekarz z Warszawy i ten ktoś pomagał mu się wprowadzić. Wy tłumaczył mojemu ojcu, gdzie to jest i natychmiast tam poszliśmy.

Informacja była prawdziwa, lekarz przyjął nas w pokoju, w którym było jeszcze wiele nierozpakowanych rzeczy. Lekarz obejrzał mnie i powiedział: – Co z tego, że ja wiem, co to jest i jak to leczyć, skoro nie mam żadnego lekarstwa i nigdzie go nie dostanę? Pouczył ojca, jak ma mnie leczyć. Kazał się koniecznie postarać o bimer, którego zaraz po wojnie nie brakowało. Kazał mnie smarować dwa razy dziennie. Powiedział też, żeby mi nie żałować jedzenia i dawać dużo picia, bo mogę umrzeć z wycieńczenia. Powtórzył, że trzeba mnie koniecznie smarować bimbrem, mimo tego, że będzie to bardzo bolało. Rzeczywiście, ból był niesamowity. Każdy czyrak był tak dojrzały, że krwawił i piekł niesamowicie. Smarowano mnie przez kilka dni mimo mojego krzyku i płaczu. Zaczęło się powoli goić. Tym razem Bóg również chciał, żebym przeżyła. Wyzdrowiała również moja mama, i to bez żadnej pomocy lekarza, za sprawą łaski Boga. Dalej mieszkaliśmy na kolonii, ojciec mówił, że tylko na razie, bo jak się uspokoi, to pojedziemy do Polski. Tak się wtedy mówiło, że tu gdzie wtedy mieszkaliśmy, to były Ziemie Odzyskane. Ciągłe jednak stacjonowały tu wojska rosyjskie i nie było spokoju.

Była już jesień, gdy pewnej pamiętnej nocy przeżyliśmy koszmara. Mama była już w bardzo zaawansowanej ciąży, miała bardzo duży brzuch. Przyszło do nas kilku rosyjskich żołnierzy, byli jak zwykle pijani. Weszli z ogromnym krzykiem. Żądali od ojca nie pamiętam czego, czegoś, co było ich własnością, ale ojciec im tłumaczył, że on od nich tego nie otrzymał. Widocznie pomylili go z kimś innym. Nie mieliśmy nic, co moglibyśmy im dać. Zaczęła się szamotanina. Jeden z ruskich chciał mamę zgwałcić. Ojciec stanął w jej obronie. Wtedy jeden z nich kazał ojca wyprowadzić do rozstrzelania. Ojciec uciekł niezauważony przez piwnicę, boso, w samej bieliźnie, do wsi odległej o dwa kilometry. Żołnierze przeprowadzili rewizję. Szukali broni i nie wiem, czego jeszcze. W popielniku pieca znaleźli schowaną konserwę mięsną, nie wiem, skąd mama ją miała. Schowała ją przed nimi na swój poród. Żołnierz skoczył z tą konserwą do mamy: – A to szto, mówiła, że nic nie miała!

Ja miałam w szafie, w woreczku, laskowe orzechy, które znalazłam obok naszego lasku. Przechowywałam je na Boże Narodzenie. Żołnierze zabrali konserwę oraz orzechy i wyszli. Rano ojciec wrócił w pożyczonych spodniach i butach, żeby zabrać nas do wioski. Zamieszkaliśmy u Kapustów. Zajęliśmy jeden duży pokój, w drugim zamieszkali Czarnecki. Kapustowie zajmowali pozostałe dwa pokoje. Nareszcie miało być bezpiecznie. Ciągłe nie mogłam uwierzyć, że nie trzeba się bać bomb i nie słychać strzałów. We wsi było kilka rodzin polskich, reszta to były niemieckie rodziny, przeważnie złożone z dzieci, kobiet i starców. Rzeczywiście było tu bezpieczniej, ale tu też przychodzili rosyjscy żołnierze z bronią: pijani, ze złością rozbijali szklanki, słoiki, talerze na stole, kaleczyli sobie ręce i wychodzili. Ciągłe pytali o to samo. Podczas tych awantur było nas bardzo dużo w tym domu – Kapustowie mieli trzech dorosłych synów, Czarneckich było siedmioro, a nas troje.

Wkrótce się uspokoiło, choć żołnierze jeszcze nie wyjechali. Zaczęło się normalne życie. Ojciec został wybrany sołtysem. Zaczęliśmy otrzymywać jakieś dary z Ameryki. Ojciec miał kilku ludzi, którzy stanowili komisję do sprawiedliwego podziału tych darów pomiędzy rodziny polskie i niemieckie. Otrzymaliśmy mąkę kukurydzianą, z której piekliśmy chleb. Pszenicy było tak mało, że robiliśmy z niej masło, którym smarowaliśmy chleb. Zboże gotowano, mielono w maszynie do mięsa, potem dodawało się trochę oleju i cebuli, którą również dostawaliśmy z darów. Pamiętam, że w naszym domu odbywały się zebrania. Było wtedy tyle dymu, że trudno byłoby kogoś rozpoznać. Dym pochodził z palenia papierosów, które robiono z tytoniu zawijanego w gazetę. Mama długo wietrzyła mieszkanie, zanim dym wyszedł. Omawiano na tych zebraniach wiele spraw, między innymi to, jak zorganizować szkołę dla dzieci. Postanowiono przygotować coś w rodzaju początkowego nauczania, żeby nauczyć dzieci pierwszych liter. Była to już późna jesień roku 1945.

Niewiele było nas, dzieci, ale wszyscy byli przerośnięci i nikt nie umiał czytać. Pisaliśmy na małych tabliczkach wielkości tornistra; pisało się na nich z trudem. Tabliczka miała na jednej stronie kratkę, która służyła do rachunków, a na drugiej stronie były linie do polskiego. Były też czyste tabliczki, bez kratek i linii. Pisano, a potem wycierano tabliczki wilgotną szmatką, palcem albo rękawem. Można też było rysować. Chodziłam do szkoły tylko z tabliczką, rysikiem i szmatką. Nauczyciel był bez wykształcenia, umiał tylko czytać i pisać. Przyjechał z Rosji, mówił z mocnym akcentem rosyjskim. Pisał lewą ręką, prawą miał niewładną. Do nauki przystąpiłam z ogromnym zapałem, chciałam szybko nauczyć się czytać, ale nie było łatwo od razu pojąć wszystko. W listopadzie urodził się mój brat Janusz. Było wiele radości.

Mój ojciec cieszył się najbardziej, że to chłopak. Ojciec miał gości, co bywali na zebraniach. Znow było w pokoju tyle dymu, że trudno było się poruszać. Wypito też sporo bimbrowa, a przekąską była tylko cebula, którą czuć było w całym domu. Z urodzin mojego brata cieszą się w całej wiosce. Urodził się pierwszy obywatel Wolnej Polski. Nasza rodzina była w centrum zainteresowania. Przynosili mojemu bratu, co kto miał: pieluszki, buciki, czapeczki, kaftaniki itp. Cieszyłam się i ja, że nie byłam sama. Najlepiej pamiętam pierwszego Mikołaja w szkole. Mikołajem był nasz nauczyciel. Ubrano go w długi, biały kozuch. Miał też brodę i jakąś czapkę. Wchodząc do klasy, zadzwonił głośno dużym dzwonkiem. Bardzo się przestraszyłam, bo nie rozpoznałam wówczas naszego nauczyciela. Uwierzyłam, że to był prawdziwy święty z nieba. Widziałam Mikołaja po raz pierwszy, więc bardzo się bałam, biło mi mocno serce. Nie chciałam iść po paczkę, którą mi podał. Paczki były bardzo skromne. Lalki były uszyte ze szmatek przez nasze mamy.

Mieszkaliśmy tu jeszcze przez dłuższy czas. Janusz był coraz większy. Samodzielnie siedział i bawił się różnymi przedmiotami. Zabawek wtedy nie było. Ja chodziłam do szkoły, znałam już wiele liter i składałam wyrazy. Ojciec, zajęty pracą sołtysa, wyjeżdżał do różnych urzędów. Mówiło się o tym, że mają nam dać po jednej krowie i po jednym koniu. Mieliśmy krowę, a konia otrzymaliśmy na wiosnę, ale był to dziki koń – klacz, którą ojciec nazwał Laura. Klacz była młoda, bardzo ładna, ale strasznie dzika. Sprowadzono ją ze stepów Ameryki. Wszystkiego się bała, nawet papierka na drodze. Nieraz ojca i nas poniosła. Raz tak ojca przewiozła, że potem leżał w szpitalu. Przeprowadziliśmy się z powrotem do naszego domu na kolonii, ale tym razem w naszej rodzinie było o jedną osobę więcej. Było nas już czworo. Było lato, ojciec zaczął uprawiać ziemię. Nie pamiętam, co siał i sadił. Wiem, że mieliśmy kartofle. Mieliśmy też kury. Rodzice byli młodzi, wzięli się z ogromnym zapałem do pracy. Wreszcie ojciec postanowił pojechać do tzw. Polski, a więc do naszego domu. Po powrocie okazało się, że już tam nie wrócimy, ponieważ po naszym domu został tylko duży kamień. Ojciec zebrał wiadomości o rodzinie, kto zginął, a kto przeżył. Oplakaliśmy naszą ciocię Bronię, która zginęła od bomby.

Życie toczyło się dalej. Rodzice nadal prowadzili gospodarstwo, ja się uczyłam, najpierw na wsi, a potem w mieście. Ukończyłam średnią szkołę w roku 1954. Zamieszkałam na stałe w mieście, gdzie pracowałam w biurze. W roku 1957 wyszłam za mąż za starszego od siebie o 10 lat głównego księgowego. Urodziłam trzy córki. Dziś mam już 65 lat. Opisałam swoje krótkie przeżycia wojenne i obozowe, jak również najtrudniejsze czasy powojenne. Opis ten obejmuje zaledwie jeden rok, od stycznia 1945 roku do wiosny roku następnego. Przeżyłam zbyt wiele jako dziecko. Jakim jestem człowiekiem? Myślę, że los mnie okaleczył. Moje dzieciństwo, lata wojny i młodość to była droga krzyżowa. Dziś jestem kobietą głęboko wierzącą, może dlatego, że tyle razy doświadczyłam Łaski Bożej i nadal jej doświadczam. Czuję się szczęśliwa, że to wszystko przeszłam, że Bóg dał mi przeżyć i stworzyć normalną rodzinę. Wydałam na świat trzy córki, które już dziś mają swoje rodziny. Postanowiłam przekazać im i ich dzieciom swoje przeżycia i przemyślenia.

Patrząc z perspektywy czasu, mogę stwierdzić, że wszystko na świecie się zmieniło. Jaka jest dzisiaj dziewięcioletnia dziewczynka i jaka będzie mając 65 lat? Muszę napisać, że nigdy z naszą rodziną nie odwiedziliśmy obozu. W roku 1974 zmarł mój ojciec, z którym tak ciężko przeżywaliśmy wojnę. Mama ma 92 lata i jeszcze żyje; zamieszkuje u mnie.

Mnie przytrafiło się wstąpić do byłego obozu. Mianowicie w 1962 roku mąż otrzymał propozycję wczasów rodzinnych w Krynicy Morskiej, nad samym morzem, w ośrodku Tęcza. Miałam wtedy Lucynkę (3,5 roku) i małą Lidzię (2 lata). Mąż nie miał urlopu, byłam sama z dziećmi, a mąż przyjeżdżał na niedziele. W ośrodku było dużo ludzi; czułam się bardzo dobrze. Był czerwiec, ludzie chodzili do lasu na jagody. Trudno mi było iść z dwójkiem dzieci. Postanowiłam jedno, młodsze, uśpić; klucza dałam sąsiadce, gdyż moje dzieci były ich pupilkami. Wzięłam starszą Lucynkę i poszłam szukać jagód, ale zamiast jagód znalazłam miejsce znajome z czasów wojny. Mianowicie trafiłam na dużą ilość bomb, tych, które opisywałam, w kształcie tulipanów. Były to małe bomby, ale czyniły wielkie spustoszenie, to one zabiły wspomniane przeze mnie dzieci, z którymi i ja mogłam zginąć. Wróciłam do domku bez jagód, lecz z otwartą raną w sercu. Wydawało mi się, że słyszałam tam przeraźliwy świst spadających bomb i czułam strach, który przerażająco paraliżował. W nocy była straszna burza. Byłam sama z dziećmi. Na drugi dzień była ładna pogoda, poszłam na plażę, przed obiadem w morzu utopiła się 18-letnia dziewczyna. W tym też dniu przyjechał po mnie mąż służbowym samochodem i kierowca powiedział, że chciałby obejrzeć po drodze Stutthof. Trafiliśmy na wycieczkę, którą oprowadzał były więzień obozu. Po oprowadzeniu wycieczki mąż zacerpił go, mówiąc, że ja też tu siedziałam. Ów człowiek spojrzał na mnie zdziwiony, pytając, ileż tu ja miałam wtedy lat. Odpowiedziałam, że dziewięć. Padło pytanie, jak to możliwe, przecież dzieci szły pierwsze do pieca. Ten człowiek znał obóz w dużo wcześniejszym czasie. Wyjaśniłam, że byłam tu pod sam koniec wojny, tylko przez sześć tygodni. On twierdził, że dziecko przebywało tu najdłużej do miesiąca. Opowiadał, jak się uratował, a stało się to dzięki jego koledze Niemcowi, który go rozpoznał, gdyż z nim chodził do szkoły w Gdańsku. Zachorował i trafił do szpitala, gdzie dowiedział się od lekarza, że będzie wyleczony i odesłany z obozu, bo kolega taki to a taki za nim się wstawił. Gdyby nie to, ten więzień zostałby poddany eksperymentom medycznym...

Opowiadał znacznie więcej i tak sobie uświadomiłam to, z czego wtedy, jako dziecko, nie zdawałam sobie sprawy, nie wiedziałam, co mnie czekało.

Wróciliśmy do domu, ale moja psychika bardzo ucierpiała. Odgrzebały się rany w moim sercu. Ciągłe widziałam miejsce, gdzie leżały te bomby. Potem ten człowiek w obozie pokazywał nam miejsce przesłuchań więźniów i krew, której ślady do dziś nie chcą zniknąć. Piece, krematoria, komora gazowa. Przypominałam sobie moje koleżanki, które tak chętnie szły na śmierć i którym ja tak zazdrościłam, że już poszły do łaźni, a my jeszcze nie. Dlatego więcej nie odwiedzałam tego miejsca, bo jest to dla mnie bardzo bolesne.

Dziś widzę, że czas goi rany, ale wtedy były one jeszcze świeże i bolesne.

Pragnę przekazać moje przeżycia ludziom odwiedzającym teren byłego obozu, a niemającym pojęcia, co może przeżyć dziewięcioletnie dziecko i co może zapamiętać. Żyjemy w czasach pojednania i przebaczenia. Nie otrzymałam odszkodowania i nie ubolewam z tego powodu. Niemcy pod koniec wojny nie prowadzili dokumentacji, a część istniejących dokumentów zniszczyli. Dla mnie osobiście najważniejsze są przeżycia duchowe, które doświadczyłam i dzięki którym stałam się głęboko wierząca. Dziś jestem starą kobietą i doświadczam, jak łatwiej znosić chorobę, starość, różne przykrości, wierząc w Boga. On jeden udziela nam łask, przebacza, pociesza i uzdrawia. Do Niego każdy wzdycha, nawet ten najgorszy. To od Niego pochodzi święto Bożego Narodzenia, które cieszy nie tylko dzieci, ale też każdego człowieka, nawet tego niewierzącego. Święto Zmartwychwstania daje nam radość, że i my żyć będziemy wiecznie.

Tytuł moich wspomnień brzmi: „Testament duchowy”. Pragnę się podzielić z Wami tymi wspomnieniami. Czy istnieje przebaczenie? Tak, ja im przebaczam. Mimo tego, że największy żal do nich miałam, że bliska byłam śmierci głodowej, a nie sposób jest tego wytłumaczyć tym, którzy tego nie przeżyli.